powrót do
poprzedniej części

W dzisiejszym odcinku będzie o inwestycjach.

W epoce wczesnego socjalizmu Bycie pisarzem było bardzo fajne. Każdy, kto wykazywał choćby śladowy talent oraz wyznawał jednocześnie odpowiednie poglądy na rzeczywistość, mógł liczyć na życzliwość władzy. Piewcy budowy socjalizmu otrzymywali wille, talony na samochody, prawo robienia zakupów w specjalnych sklepach za żółtymi firankami.
W epoce późniejszego socjalizmu na pisarzy czekały już zdecydowanie mniejsze konfitury, niemniej jednak po kilku wydanych książkach można było liczyć na niezłe mieszkanie, zachodni samochód (lub bezpłatny talon na krajowy) oraz inne dobra luksusowe. Honoraria wystarczyły na spokojne życie przez wiele miesięcy. Do tego pisarze liczyć mogli na skierowania do sanatoriów, wycieczki zagraniczne oraz pobyt w tzw. Domach pracy twórczej, gdzie czas spędzano przeważnie na chlaniu wódy we własnym gronie, zaliczaniu cudzych panienek i podrastających córek kolegów oraz innych "godziwych" rozrywkach.

Oczywiście władza wydawała wszystkie te dobra oszczędnie i aby uzyskać szerszy do nich dostęp należało się umiejętnie podlizywać. Zapisywać do partii, podpisywać protesty intelektualistów, opluwać wskazanych osobników w listach otwartych do prasy etc. Władza oczekiwała służenia na dwu łapkach i radosnego merdania ogonkiem - czego wielu pisarzy błyskawicznie się nauczyło.
W sumie pisanie czegokolwiek schodziło na plan dalszy. Obok wszelkiego rodzaju stypendiów twórczych "literaci" liczyć mogli na wysokie zaliczki za nie napisane jeszcze książki i niezłe honoraria za już opublikowane. Bywało i tak że dzięki odpowiednim układom po zainkasowaniu zaliczki książki pisać już nie było trzeba... Tempo pracy było żadne. Nowa książka powstawała z reguły przez kilka lat. Napisanie ślimaczyło się w nieskończoność. Ale gdzie panowie literaci mieli się spieszyć? Mieli za co żyć, mieli gdzie się zabawić, nikt nie rozliczał ich z tego co zrobili. Zbigniew Nienacki pisał swoje 17 samochodzików przez 33 lata. Ja (nie porównując jakości) 17 tomów kontynuacji napisałem w... 4 lata.

Na literaturze, niczym nowotwór, rozwijała się narośl pism literackich - które z reguły wydawali krytycy literaccy dla innych krytyków - większa część nakładu szła na przemiał, a płaciło za to ministerstwo. W pismach tych swoją niszę ekologiczną zajmowali tzw. krytycy - kolesie znający się na eksperymentach formalnych, powieściach awangardowych i innych meandrach literatury, nie mający zielonego pojęcia o prawdziwych książkach. Dziś jeszcze niekiedy takie glizdy o mózgach zaczadziałych od wódy wyłażą czasem z nor, by pluć na książki z naszej półki.

Wszelkie dochody i profity tych grup miały pewien związek z publikacją i sprzedażą - był to jednak związek bardzo luźny. Z reguły dzieła uznawane za wybitne zalegały na księgarnianych półkach latami, a drukowana na odczepnego fantastyka znikała z handlu błyskawicznie. Dodruków z zasady nie robiono, gdyż nie było na to papieru.
Istnieli wreszcie pisarze, tacy jak Nienacki, Szklarski czy Łysiak, pogardzani i wykpiwani przez krytykę - których książki zarabiały na całe wydawnictwa i druk dziesiątków pozycji ich mniej zdolnych, a za to

dobrze zakorzenionych w aparacie kolegów po piórze.

W 1989-90 roku dla setek drobnych pluskiewek skończył się świat. Od tamtej pory trwa rozciągnięta w czasie erozja układu. Część mecenatu nad awangardowymi twórcami przejęła "gazeta wyborcza", część pisemek ciągle jeszcze dotuje ministerstwo, jednak zdecydowana większość tfu-rców i ich promotorów trafiła tam, gdzie im się należało. Zaczęła się inna epoka. Epoka uciekającego czasu. Od tamtej pory już nie jedna książka na 3 lata, ale 3 książki rocznie stanowią minimum pracy twórczej.

w 1989 roku miałem 15 lat i już wtedy byłem zdecydowany zostać pisarzem. Przez pierwszy rok ukazywała się masa literatury antykomunistycznej - dotąd zakazywanej przez cenzurę. Czytałem to i radowało się moje serce. Ale w pewnej chwili zorientowałem się, że do diaska nikt nie wydaje jakoś polskiej literatury antykomunistycznej. Ukazało się kilka książek wydanych w latach 40-tych na zachodzie, garść wspomnień i na tym w zasadzie koniec.

Część literatów filmowców i innych artystów biadała, że komuna nie dawała im żyć - ale nie dość, że żaden nie wyciągnął z szuflady pisanych ukradkiem powieści, to jeszcze żaden przez kolejne 14 lat nic podobnego nie napisał... Przyzwyczajeni do życia na garnuszku państwa nagle - jak chłopi z likwidowanych pegeerów - znaleźli się z ręką w nocniku.

Wybaczcie długachny wstęp przechodzę już do meritum dzisiejszej lekcji. Za komuny można było być literatem i nie pisać książek. Można było świetnie żyć z pisania książek nie nadających się do czytania. Dziś czasy są inne i musimy, choć to brutalne i przykre, spojrzeć im w twarz.
Sytuacja jest pierońsko klarowna. Nikt nie da nam ani złotówki ponad to, ile jesteśmy warci. Wilii samochodów i wycieczek zagranicznych musimy dobijać się sami. (co jak wierzę jest możliwe).
A zatem... Pisanie to inwestycja. Inwestujemy nasz czas w nasz talent. Sytuację oceniać musimy sami. To co osiągniemy to iloraz czasu i talentu. Jeśli mamy słaby talent musimy w pisanie włożyć gigantyczna ilość czasu i wysiłku. Jeśli talent mamy większy musimy i tak włożyć tyle samo czasu - tylko wynik będzie lepszy. Jeśli zdecydujemy się pisać - co więcej - jeśli zdecydujemy, że pisanie ma być naszym sposobem na życie - musimy liczyć się, po pierwsze, z koniecznością poświęcenia ogromnej masy czasu, po drugie z tym, że opłacalność naszej inwestycji stoi pod znakiem zapytania.

Zaczynamy pisać jeszcze w szkole. Może to być podstawówka, bardziej prawdopodobne jest, że będzie to gimnazjum lub liceum. Pierwsze teksty nie nadają się z reguły absolutnie do niczego. To wprawki, które po przeczytaniu rzucamy do szuflady. Może kiedyś wrócimy do nich i napiszemy te pierwsze pomysły w sposób nie urągający polszczyźnie. Ile tego będzie? Trudno ocenić. Jak obliczam napisałem ok. 1600-2000 stron maszynopisu zanim zaczęto mnie drukować. Ile lat na to poświecimy? Ja poruszałem się na ślepo. W dzisiejszych czasach, w dobie Internetu, znalezienie kogoś, kto udzieli rad jest łatwiejsze. Powiedzmy, że 2-3 lata zajmie Wam opanowanie podstaw warsztatowych. W tym czasie musicie znowu zainwestować masę godzin... Napisanie 1 strony to przeważnie 15-30 minut. 500 godzin ćwiczeń to bardzo dużo.
Czas na to potrzebny musimy ukraść. Ukraść kosztem czytania książek, oglądania telewizji, odpoczynku, rozrywek, nauki snu... I po tych 500 godzinach nauki zaczyna się dopiero nasza droga przez życie. Czytamy nasze pierwsze wypociny, zgrzytamy zębami i piszemy od nowa. Potem wysyłamy na łup redaktorom.

Jeśli jesteśmy początkującymi pisarzami znajdujemy się na samym dole hierarchii, jak "koty" w wojsku, czy terminatorzy na nauce zawodu u szewca. Redaktorzy, którym już poświeciłem oddzielną lekcję, nas

nie znają, nie szanują, olewają. Debiut, potem pierwsze opowiadania, honoraria, których czasem w ogóle nie ma (są pisma, które nie płacą debiutantom), niskie, wypłacane z wielomiesięcznym poślizgiem. Całe miesiące, kiedy nie ukazuje się nic naszego, nieustanne bombardowanie redakcji naszymi kolejnymi tekstami. Mamy obecnie komfortową sytuację - na rynku fantastyki jest 5-6 pism. Powiedzmy, że raz na dwa tygodnie ukazuje się jeden numer jakiegoś periodyku, do tego jeszcze kilka pism internetowych - które niestety nie płacą... Te obszar należy zagospodarować. I znowu jest to inwestycja - tym razem podwójna. Z jednej strony znowu czas - czas, który musimy poświęcać każdego dnia na pisanie, wymyślanie sprawdzanie szczegółów.... Po drugie same pomysły.
Nie wiem, czy człowiek jest w stanie wymyślić w życiu nieskończenie wiele dobrych fabuł, czy też nie. Miewałem jednak całe miesiące bloku twórczego, w czasie których nie byłem wstanie, ze skamieniałego nagle mózgu, wykrzesać ani iskry... A więc inwestujemy fabuły. Wymyślamy, piszemy opowiadania i rzucamy, gdzie się da. Znowu przychodzi refleksja. Czy mamy prawo do takiej rozrzutności? Czy dobrze robimy pisząc opowiadanie, może fabuła jest na tyle nośna by stworzyć na jej bazie powieść? Wyraźnie widać do po literatach z USA. Wpadają na pomysł piszą opowiadanie, po jakimś czasie zaczynają żałować, rozdmuchują je do objętości powieści, potem ciągną w cykl...
Po trzecie wreszcie inwestujemy naszą sprawność rzemieślniczą. I tu znowu zaczyna nas gnębić refleksja. Machniemy opowiadanie na 20 stron, zapłacą nam trzy stówki (minus podatek), za 20 storn artykułów w byle gazecie dostaniemy 3-6 razy więcej forsy... I forsa zaczyna kusić. Pojawiają się złe myśli. Do diabła z opowiadaniami, trzeba się zaczepić w gazecie, pisać felietony, reportaże, opisywać otaczający nas chlew jakby miał zapach róż, wady polityków przedstawiać jako cnoty i inkasować kasę... Można też pisać opowiadania, sprzedawać je znacznie taniej, ale za to mieć nadzieję, że kiedyś ukażą się w postaci książkowej. I że książka ta stanie się bestsellerem. I że nasze dzisiejsze straty uda się powetować z nawiązką... Tak więc pisząc opowiadania znowu inwestujemy. Poświęcamy naszą teraźniejszość na rzecz niepewnej przyszłości.

Skończyliśmy naukę podejmujemy pracę. I znowu pojawiają się dylematy. Z pisania możemy mieć dodatkowy dochód. Tylko czy jest sens okradać się z ciężko zarobionych godzin odpoczynku? Czy nie lepiej runąć nieprzytomnie przed telewizorem i wyłączyć mózg na godzinkę albo kilka? Czas...
Napisanie powieści - nie mówię tu o jej wmyśleniu, czy zgromadzeniu danych - samo wklepanie jej w komputer, to minimum 3 tygodnie harówki. I znowu inwestujemy czas... 100 godzin na napisanie książki. Wydaje się, że to niewiele. Ale co jeśli w połowie okazuje się, że zmieniła nam się koncepcja i trzeba wywalić 40 stron, by przerobić cały wątek? Przyjmą albo odrzucą. Jeśli odrzucą jesteśmy miesiąc czasu w plecy. Za komuny przynajmniej zostałaby zaliczka w garści i legitymacja w kieszeni...

Podjąłem ryzyko szalone. Zdecydowałem się nie łączyć pracy zarobkowej i pisania - ale próbować żyć z tego, co naskrobię. Zaryzykowałem, nie zdając sobie sprawy, na co się porywam.
8 lat szlifowałem warsztat - na ślepo... Przez kolejne 7 lat napisałem osiemdziesiąt opowiadań i osiem tomów powieści. Ukazały 3 zbiory opowiadań, a jeden znajduje się w druku. Wydałem jedną powieść, a jej kontynuację kończę pisać. Jedna powieść mi się nie udała i nie mam ochoty jej poprawiać. Trzy tomy jednego cyklu i dwa tomy drugiego leżą czekając lepszych czasów. W wolnych chwilach napisałem 17 tomów kontynuacji przygód Pana Samochodzika. Jeden odrzucono.

Trochę przeinwestowałem, ale łudzę się nadzieją, że to, co napisałem jednak uda się kiedyś wydać... Nie wiem, ile czasu poświeciłem na naukę pisania i samo pisanie. Być może 5 tysięcy godzin? Jeśli gotowi jesteście zaryzykować tyle, co ja, możecie znaleźć się w tym miejscu. A ja zainwestuję chętnie drugie tyle, bo jestem ciekaw, jak daleko można dojść przy odrobinie uporu.

przejdź do
następnej części

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

valdens, dodano 02.12.2008 13:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.